Władysław Kmiecik - Dzieciństwo

(Ze względu na obszerność opracowania przedstawione zostały jedynie fragmenty wspomnień Władysława Kmiecika z 1995 r.).

Od autora

To opowiadanie nie ma aspiracji do przedstawienia, krew w żyłach mrożących, przeżyć. Ono zawiera tylko pewien wycinek życia, jak na owe czasy – zwykłego, wcale nie tragicznego, bo ostatecznie ma szczęśliwe zakończenie. O tych, które kończyły się w komorach gazowych, na szubienicach i na wiele innych sposobów, napisano tysiące opowiadań, powieści, rozpraw. Chcę tylko opowiedzieć o tym, czego żadne dziecko nie powinno nigdy i nigdzie przeżywać, bo zabrać dziecku jego dzieciństwo też jest zbrodnią.

Rozdział I

Obudziłem się, gdy rodzice byli już ubrani, a starsza siostra mówiła:
- Nie zabiorą nas. Gdyby mieli to zrobić, już dawno byliby tutaj - usłyszałem głos starszej siostry Hani. Rozespany, nie bardzo wiedziałem o co chodzi, nie wyłowiłem jeszcze głosów dochodzących z zewnątrz. Dopiero po chwili zrozumiałem, że we wsi przeprowadzana jest jakaś akcja.
(…) Mama szeptała modlitwy, ledwie poruszając wargami. Jej prawa strona twarzy, jak zawsze w chwilach szczególnego napięcia lub zmęczenia, była czerwona.
Wrzawa i hałasy na zewnątrz raz się nasilały, to znów oddalały, a myśmy drżeli, że oto już, już, aby po chwili wyrzucić z siebie oddech ulgi - jeszcze nie tym razem…
(…) Potem furkot furmanek po bruku przewalił się przed oknami. Furmanki wypełnione dziećmi, kobietami, mężczyznami i płaczem… pozostała cisza, lęk, zgroza, niepewność i żal za tymi, co odchodzili… i świadomość, że represje dotarły także do nas.
O świcie powróciły podwody.
Ostrożne wyleganie przerażonych ludzi na ulice… i wiadomość, ze 40 rodzin odwieziono na punkt zborny, skąd wyjechali pod eskortą gdzieś w głąb Niemiec.
W pozbawionych gospodarzy obejściach porykiwały krowy, słychać było chrząkanie świń, gdakanie kur. Kto żyw poszedł obrabiać porzucony dobytek. Mnie mama wysłała do Żaków, a sama poszła do Grząsiów, aby się zorientować, co należy zrobić. W trakcie obrządzania bydła wjechał na podwórko samochód z nowym gospodarzem. Iście niemiecka dokładność. Był to Niemiec z Besarabii, z żoną i 14 - letnią córką.
(…) Wkrótce nadeszli jacyś urzędnicy, którzy przekazali mu dwa sąsiadujące ze sobą gospodarstwa. Po południu miejscowy żandarm powiadomił moich rodziców, że mam pomóc przybyłemu gospodarzowi w obejściu. Żandarm wiedział, że mam dopiero niespełna 13 lat. (…) To była ciężka harówka przez następne 17 miesięcy, nie pomagałem, lecz pracowałem jak zwykły, dorosły parobek. Dzień zaczynał się o 5-tej rano. Przygotowaną z wieczora paszę i obrok trzeba było podać bydłu i koniom, później to samo ze świniami. Kiedy bauer doił, ja oporządzałem konie. Żeby je dobrze wyszczotkować, musiałem podstawiać sobie specjalny zydel, gdyż nie wszędzie mogłem dosięgnąć. Bywało - koń się przesunął w lewo, lub w prawo, a ja spadałem…
(…) w czerwcu 1943 roku skończyłem 14 lat. W sierpniu dostałem wezwanie do Arbeitsamtu. Do Zawiercia pojechałem z nadzieją, że dostanę się do fabryki odzieży, mundurów, produkującej wyłącznie dla wojska. Pracowało tam już kilku kolegów, znajomych. Była to jedyna nadzieja, że podlegając jurysdykcji wojskowej, można będzie przeczekać do końca wojny i uwolnić się od „mojego" gospodarza. Niestety. Dostałem skierowanie do pracy na lotnisku Udetfeld obecnie Pyrzowice.

Rozdział II

(...) 9 sierpnia 1943 r. -poniedziałek. Wstałem już o 3.30, gdyż pracę miałem odtąd rozpoczynać o godzinie 6-tej. O 5.00 rano codziennie do pracy na lotnisko wyjeżdżali chłopcy z naszej wsi, którzy mieli mi pokazać drogę, byli to czterej młodzi chłopcy w wieku od 16 do 22 lat, pracujący jako elektrycy w budowanym dla potrzeb lotniska osiedlu….
(...) Pierwszy dzień pracy jako goniec wydawał mi się nawet atrakcyjny, podobnie jak kilka następnych. Absolutna nowość, poznawanie rzeczy dla młodego człowieka niezwykle ciekawych - samoloty… wprawiały mnie w ogromne podniecenie.
(...) Wkrótce cała czwórka chłopców, którzy mnie pierwszy raz pilotowali na lotnisko, została rozstrzelana wraz z trzydziestoma innymi niewinnymi ludźmi, co jak oni jechali do pracy w Myszkowie, w rewanżu za akcję partyzantów na Arbeitsamt. Do dziś pamiętam twarz pani Brzozowskiej, spięta, blada, oczy jak szkło. Nie mogła nawet płakać. W marcu 1940 roku zabrano jej pierworodnego syna kalekę po chorobie Heinego- Medina, którego poddano eutanazji, a teraz straciła drugiego chłopca jak malowanie, 17-letniego Henka.
(...) 7-go sierpnia 1944 r. w poniedziałek, zaraz po przyjeździe do pracy wezwał mnie do siebie mój szef: - kierownik Gruppenverwaltung - Franz Schneider i nie bawiąc się w żadne subtelności oświadczył wprost:
- Pójdziesz teraz do sekretariatu i zdasz przepustkę. Otrzymujesz urlop do niedzieli, a w poniedziałek stawisz się, z czym tam chcesz, na stacji kolejowej tu w Udetfeld, najpóźniej o godz. 9 - tej rano. Zgłosisz się do Swobody, który z grupą innych Polaków pojedzie w głąb Niemiec i zawiezie, gdzie trzeba. Dokąd - nie wiem. Gdyby przyszło ci do głowy nie zgłosić się, to musisz sobie zdać sprawę, że całą twoją rodzinę czeka Auschwitz.
(...)W przeddzień wyjazdu tato przeprowadził ze mną długą rozmowę. Ostrzegał przed pochopnością podejmowania decyzji i bezkrytycznym zaufaniem do ludzi,.. na koniec powiedział;
- Chciałbym, abyś po wojnie wrócił do domu takim, jakim jesteś, chociaż zdaję sobie sprawę, że będziesz bogatszy o wiele doświadczeń, o których obaj w tej chwili jeszcze nic nie wiemy.
14-tego sierpnia wstaliśmy o 4.30. Cała czwórka zasiadła do ostatniego wspólnego śniadania. Przy pożegnaniu było dużo łez i upomnień: nie rób tego, nie rób tamtego, ubieraj się ciepło w zimie, nie przeziębiaj się itd.

Rozdział III

(...) O 8.30 pokazał się Swoboda. Wywoływał z listy swoich ludzi. Było nas 12 w grupie. Obok ustawiały się inne. O ile dobrze pamiętam, cały transport liczył około 90 osób, dziewcząt i chłopców w 5-ciu, czy 6-ciu grupach, które stopniowo, co kilka godzin gdzieś odbijały. Od Drezna dalej jechaliśmy już sami. Skład naszej grupy to głównie młodzi chłopcy, z których najmłodszym byłem ja.
Nagold. Dwunastu wymęczonych, ale głównie wystraszonych ludzi wychodzi na niewielki plac przed budynkiem dworca kolejowego.
Już czekał na nas niewielki samochód na tzw. holzgas. Szybko załadowaliśmy się i równie szybko przejechaliśmy przez miasto na drugi jego koniec. Nagle skręciliśmy w lewo, tuż obok przejeżdżającej kolejki wąskotorowej, ciągnącej dwa pasażerskie wagoniki z Altensteigu do Nagoldu i to była nasza najbliższa przyszłość – Ölmühle - wytwórnia oleju, a w gruncie rzeczy, jedna z fabryk zbrojeniowych firmy Klemm, działających na rzecz lotnictwa niemieckiego.
(...) Szef pouczył nas, że praca trwać będzie od 6.00 rano do 18.45 wieczorem z 15-minutową przerwą na śniadanie i 30-minutową na obiad. Każda trzecia niedziela miesiąca będzie wolna od pracy. Nie wolno nam się oddalać z miejsca zamieszkania pod groźbą obozu pracy. Godzina policyjna trwa od 22-giej do 4-tej rano. O żadnych prawach oczywiście nie było mowy.
Szef wyobrażając sobie, że czyni mi wielką przysługę, obarczył obowiązkiem pobierania posiłków dla całej grupy z „Gasthausu" w mieście, co oznaczało, że koledzy będą jeszcze spać, gdy ja biegał będę po żarcie dla nich. (...)

Rozdział IV

(…) Z grubsza nasza praca polegała na przetransportowaniu wózkami, lub przenoszeniu z miejsca na miejsce, segregowaniu i układaniu blach różnych wielkości i grubości. Pracowaliśmy na otwartym terenie. Do hal produkcyjnych nie mieliśmy wstępu, chyba że z majstrem, ale to się zdarzało niezmiernie rzadko. Praca nudna i ciężka….. Mechanizacji nie było żadnej. Pracowaliśmy również przy za- i rozładunku wagonów i samochodów.
W zimie zachorowałem na zapalenie płuc. Lekarz udzielił mi trzech dni zwolnienia i powiedział, aby już do niego nie przychodzić. Byłem tak słaby, że idąc z pracy i do pracy trzymałem pod rękę kolegów. W baraku okrywali mnie, czym mogli. W nocy wstawali na przemian i dokładali do piecyka. Mój majster przyniósł mi ze swojej jednostki wojskowej jakieś tabletki. W dzień kurowałem się w kotłowni. Całe szczęście - choroba mijała szybko. Jeszcze niezupełnie mocny, owinięty w szaliki, z dwoma swetrami pod ubraniem roboczym, po 6-ciu dniach poszedłem do pracy.
(…) W końcu października jeden z urzędników wyprosił od szefa zgodę, abyśmy pomogli mu przewieźć do domu i rozładować zakupiony z przydziału węgiel. Kiedy nasza trójka zrobiła już wszystko, co było do zrobienia, Beger pozwolił nam łaskawie umyć ręce i twarz w jego łazience, nie omieszkując poinformować dokładnie, co i do czego służy. Uśmialiśmy się w duchu solidnie.
Umyłem się pierwszy i czekając na kolegów przyglądałem się, przez otwarte do pokoju drzwi, pianinie. Beger to zauważył i zaczął mi wyjaśniać, co to jest. Powiedziałem, że u mnie w domu stoi też podobny instrument, tyle, że większy i nazywa się fortepian.
- Chyba nie powiesz, że umiesz na tym grać?- zapytał z niedowierzaniem.
- Jeśli tak, to spróbuj, ale delikatnie. Zagrałem walca Brahmsa. Zapomniałem zupełnie o Bergerze.

Rozdział VI

(…) Nasze kontakty z rodzinami urwały się. Skończyły się paczki i kartki. Było coraz trudniej i głodniej. Racje chleba zmalały do 200 gram na dzień. Zupki były coraz cieńsze, porcyjki „kartofelsalat", serwowane prawie codziennie zmniejszyły swoją wagę, podobne jak brukiew, 250 gramowa kostka margaryny musiała nam wystarczyć na cały tydzień. Dla całej ósemki oczywiście. Oprócz marmolady nie dostawaliśmy nic do chleba. Ciągle chodziłem głodny. Ssanie w żołądku nie pozwalało mi zasnąć. Byłem coraz bardziej apatyczny i słaby. Wbrew zakazowi oddalania się z miejsca zamieszkania, pod groźbą najsurowszej kary, zaczęliśmy po pracy lub w wolne niedziele chodzić po okolicznych wsiach od domu do domu i prosić o kawałek chleba.
Głównie kobiety litowały się nad nami i obdarowywały nie tylko chlebem, ale czasami konfiturami, lub kawałkiem sera. Bywało, że proponowano nam pomoc w czynnościach gospodarczych, za co otrzymywaliśmy wcale nie małe porcje. Wtedy byliśmy naprawdę szczęśliwi, bo nie musieliśmy się wstydzić, że bierzemy coś za darmo.

Rozdział VII

Wszystko odbyło się bardzo dziwnie, rano poszliśmy do pracy, majster pokręcił się i około 10-ej zniknął nic nam nie mówiąc, kiedy wróci. Obiad pobrałem o 13-tej. Restaurator był dziwnie uprzejmy, Żandarm, gdy przechodziłem koło budynku policji, jakoś dziwnie się uśmiechnął.
(…) Myślę sobie - rozważał Gutek - że chyba to już koniec i oni dobrze o tym wiedzą. Te strzały, które teraz słyszymy, to nie strzały dalekie i na mój rozum pochodzą raczej z czołgów, a nie z dalekosiężnej artylerii.
O 17-tej siedzieliśmy już w swoim baraku i jak zwariowani śpiewaliśmy „Jeszcze Polska nie zginęła" i inne pieśni. Gdzieś latały samoloty, słychać było oddalającą się kanonadę i zgrzyt gąsienic czołgów, a my darliśmy się za całe pięć i pół roku wojny i okupacji. Około 18-tej otworzyły się drzwi baraku i stanęli w nich dwaj francuscy żołnierze umorusani jak sto diabłów.
Mietek krzyknął: „Vive la France" i powstała wielka wrzawa….

(...) W kilka dni po przejściu frontu zjawił się u nas podchorąży - plutonowy z misji wojskowej. Wypytywał o Polaków w Nagoldzie i okolicy, gdyż jego obowiązkiem było stworzyć nam odpowiednie warunki bytowania. W niedzielę, przed mszą odbyło się spotkanie naszego podchorążego z Polakami z Nagoldu i okolic. Z tego, co zaproponował, do wyboru mieliśmy w zasadzie dwa obozy: w Calw i Warth –wiosce leżącej na jednym z wierzchołków trójkąta z Nagoldem i Altensteigiem. Nie wiem, dlaczego wybraliśmy ten Warth.

Rozdział VIII

Obóz Warth był obliczony na 30-40 osób. A teraz upchnięto w nim ponad 100 Polaków obojga płci. (...) Zdarzało się, że i prowiant nie był dostarczany na czas, co powodowało pewne perturbacje. (...)". Więc dogadałem się z Zenkiem i nic nikomu nie mówiąc wybraliśmy się do Boblingen. Do pełnego nadziei Boblingen przyjechaliśmy w nocy i do rana przesiedzieliśmy na dworcu kolejowym. Dopiero, gdy zrobiło się widniej poszliśmy w lewo ulicą w dół, by stwierdzić po 100 metrach, że jest brama, nad nią biało-czerwona flaga, a obok stoi wartownik z „POLAND" na rękawie.
Około 8-mej weszliśmy do biura, gdzie na drzwiach pisało „KOMENDANT". W środku była jednak jakaś panienka, która z wielkim wysiłkiem robiła sobie manicure. Prawie w tym samym czasie wszedł do sekretariatu sam komendant obozu.
- A dlaczego tak sami?- zaczął mnie denerwować tym swoim ironicznym tonem, ale jednak bardziej panienka „ara", która się głupio zaczynała uśmiechać, więc odpowiedziałem:
- Ano mamusie nie mogły z nami do Niemiec wyjechać, bo właśnie miały pranie.
- No, no! Widzę, że podróż była dobra, bo i humor dopisuje.
- Zawsze sobie ceniłem poczucie humoru, a szczególnie, gdy są ku temu powody…
- A co sobie waćpan jeszcze ceni?
- Wiele rzeczy. Mądrych ludzi, nie być głodnym, muzykę i śpiew…
- A kobiety i wino?
- Nic straconego, jestem jeszcze dość młody…
- A propos muzyki… na jakim instrumencie szanowny kolega gra?
- Pan też gra? Bo ja na pianinie, akordeonie, ale chyba to pana nie interesuje. O to, gdzie się nauczyłem niech mnie pan nie pyta, bo jestem synem organisty.
- A może szanowny pan gra także na organach, lub ściślej na fisharmonii?..
- Często zastępowałem ojca, gdy Niemcy zabrali go do pracy w fabryce. Życie uczy wielu rzeczy.
I w ten sposób zostałem organistą.
Ksiądz proboszcz dr Wincenty Malinowski spędził w Dachau okres od listopada 1939 roku do chwili wyzwolenia. Dobrze mi się z nim pracowało, chociaż nieraz nadwerężałem jego cierpliwość, jak to młody człowiek. Nigdy jednak się nie zdenerwował, starał się tłumaczyć, na czym polega mój błąd i to zawsze odnosiło właściwy skutek. Niezmiernie dużo nauczyłem się przy nim. To on namówił mnie, by nie zwlekając podjąć naukę w miejscowej szkole.
(...) Bodajże w marcu 1946 roku ks. Wincenty Malinowski powołany został do grupy osób reprezentujących różne środowiska w Niemczech, która miała na miejscu zapoznać się z sytuacją i swoje wrażenia przedstawić po powrocie nie bardzo zorientowanym Polakom.
(...) Gdy wrócił mieliśmy długą rozmowę.
- Ta Polska, jaką zastałem nie jest tą Polską, którą zostawiłem i nie taką, jaką chciałbym zobaczyć - powiedział w końcu. Obawiam się, że zmieniać się będzie na gorsze, zwłaszcza, gdy chodzi o stosunki społeczne. Gdyby to miało trwać rok, dwa-byłbym spokojny, ale ja wiem, że nikt nie zaryzykuje jeszcze jednej wojny. Zachód jest wyczerpany i nie będzie dla Polaków poświęcał własnego spokoju. Nie zrobili tego w 1939 roku i nie zrobią teraz, skoro oddali naszą ojczyznę pod wpływy Rosji bez zmrużenia oka. Taka sytuacja może potrwać nawet kilkadziesiąt lat, aż nie stanie się cud, który to zmieni kardynalnie. Rozumiem tych, którzy tu są z rodzinami, że nie chcą wracać i tych którzy potracili rodziny i nie mają do kogo wracać. Albo tych, którzy ze względów politycznych muszą tu pozostać. Ale tobie radzę - wracaj. Jesteś młody i powinieneś się uczyć, wymagasz jeszcze opieki. Tam ją będziesz miał ze strony rodziców

Trzeba mieć wiarę, że to się zmieni. Ty jesteś młody i doczekasz tych zmian. Zrób to za mnie, gdyż ja muszę tu pozostać.
Upłynęło wiele lat, a ja wciąż pamiętam tą rozmowę. Był też okres, gdy miałem żal do księdza, że kazał mi wracać i pytanie, czy nie żałuję. Zwłaszcza, gdy zaczęły się nieprzyjemne przeżycia z władzą, raz nie mogła mi darować, że wróciłem tak późno, innym razem, że w ogóle wróciłem. Trwał ten żal, gdy zamiast do normalnego wojska, wysłano mnie do kopalni węgla. W końcu zrozumiałem, że moje miejsce w rzeczywistości było tutaj. Dość późno zrozumiałem, o co chodziło mojemu księdzu i jestem mu ostatecznie wdzięczny. Doczekałem…Za niego także, chociaż wiem, że już nie żyje, ale cieszyłby się na pewno.

Rozdział IX

15-tego maja - czwartek, 9-ta rano. Wyjazd 25 wagonów, w których jechało około 300 osób z całym dobytkiem, ruszyło. Mój mieścił się w dwóch wojskowych workach: w jednym odzież, a w drugim to, czego podobno nie było w kraju: herbata, papierosy, różne konserwy i upominki dla całej rodziny.
I wreszcie polska stacja i olbrzymi polski napis: „MIĘDZYLESIE". Wszędzie hasła: „Witajcie w Polsce", „Ojczyzna was potrzebuje" itd.
O 17-tej odchodził mój pociąg. O miejsce nie było trudno, gdyż był podstawiony, ale to, co się działo na trasie przechodziło wszelkie pojęcie. Ludzie byli wszędzie: w przedziałach i na korytarzach upchnięci jak śledzie ze swoimi tobołami, byli na dachach wagonów, byli na stopniach i na zderzakach. To był koszmar. Kiedy przesiadłem się w Lublińcu na pociąg do Woźnik i zobaczyłem to odjeżdżające monstrum, nie mogłem zrozumieć ani maszynisty, że zdecydował się taki pociąg prowadzić, ani zwiadowcy stacji w Lublińcu, który w absolutnie obojętny sposób dał znak do dalszej jazdy. Wreszcie Woźniki. Po drodze jakiś gospodarz podwiózł mnie do Gniazdowa furmanką. Wyszedłszy poza wioskę, zatrzymałem się na chwilę, bo oto zobaczyłem strzelistą wieżę kościoła… (…) Tam w oddali… stoi mój biały, pokryty gontami dom!... tam krzątają się, nie wiedząc, że wracam moja mama, tato, siostry…
I wreszcie jest! Widzę mój dom! Bieluśki, taki jak go zostawiłem. Ścisnęło mnie w gardle, bo z okna patrzyła na mnie twarz starszej siostry, a za chwile pokazała się druga... mojej mamy….A potem już tylko radość i…płacz!.

Czy ja, tak naprawdę, miałem dzieciństwo?

Koniec.